CZYTELNIA

NIEDZIELNA.

CENA RUBLI SREBREM DWA.

WARSZAWA.

1861.

CZYTELNIA

NIEDZIELNA

CENA RUBLI SREBREM DWA.

WARSZAWA.

1861.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

Warszawa dnia 15 (27) Grudnia 1861 r.

Cenzor, *Stanisławski.*

Druk J. Ungra.

№ 1.

WARSZAWA

d. 25 grudnia (6 stycznia)

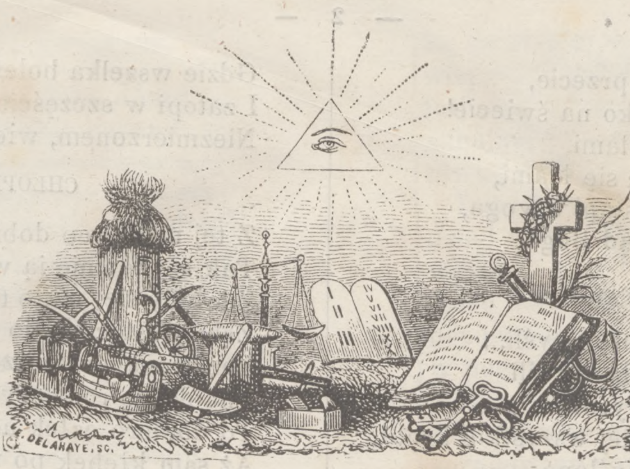
1861.

REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnej

Nr 1527.



„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Modlimy się bezustannie wtedy, jeżeli przez uczynki miłe Bogu i mające na celu chwałę Jego, całe nasze życie robimy ciągłą jedną modlitwą. (Śty Hilary.)

Gawęda kwestarza z chłopkiem.

Chłopek jeden słynny cnotą,
Widząc kwestarza, piechotą
Idącego na upały,
Litością był zdjęty cały;
Założył swego konika,
Wsadził na wóz zakonnika,
Żeby choć do drugiej wioski
Nie szedł pieszo sługa boski.
W sosnowego głębi lasku
Wóz leniwo szedł po piasku;
Wtedy od słowa do słowa,
Zawiązała się rozmowa.

CHŁOPEK.

O mój Boże! jak to człeku
Dnie i całe lata cieką!
Krętanina i znużenie,
Wszystko o chleb i odzienie.
Dla duszyczki rzadka chwilka:
Codzień ledwie westchnień kilka,
I to, co się człek w niedzielę
Dłużej pomodli w kościele...



A też dusza warta przecie,
Więcej jak wszystko na świecie!
Trapiony temi myślami,
Człek często zaleje się łzami,
W serce wielka wstąpi trwoga,
Jak tu stanąć na sąd Boga.

KWESTARZ.

Janie, bądźcie dobrej myśli...
Bóg łaskawie bardzo kréśli
O czeladce swej wyroki
W księdze, co w niej wszystkie kroki,
Nawet rzeczy pomyślane,
Wszystko, wszystko jest spisane.
Tam w tej księdze krwawa praca,
Która życie aż przykraca
I wyciska pot kroplami,
Taka praca literami
Złocistemi błyszczeć będzie,
Na tej karcie, gdzie spowiedzie
I paciorki najgorętsze
I pomyślenia najświętsze.
Aby człowiek rano szczerze
Zmówił: *Ojcze*, *Zdrowaś*, *Wierze*,
Gdy na *Anioł pański* dzwonią,
Ze schyloną westchnął skronią,
Przed jadłem też, po jedzeniu
Pamiętał o dziękczynieniu;
Aby w domu, czy na smugu,
Pracę krótką, albo długą
W sercu Bogu ofiarował
I za zdrowie podziękował;
Aby przy kosie, przy sierpie,
Lub gdy nową siłę czerpie
W pokrzepiającem westchnieniu,
Na miedzy, czy na kamieniu,
Co i raz łączył się z Bogiem
Pomyśleniem słodkiem, błogiem;
Aby nie legł bez pacierza,
Do spoczynku nakształt zwierza;
Aby przytem żył poczciwie,
Żonę, dzieci kochał tkliwie,
O! to może już być pewny,
Że go nie spotka Pan gniewny
Z groźbą na wieczności progu,
Lecz uśmiechniętą twarz drogą
Po skonaniu mu pokaże,
W księdze ostatni grzech zmaże,
Z oczu otrze łzę ostatnią,
Poda dłoń jakoby bratnią,
I poprowadzi w te kraje,
Gdzie wszelka boleść ustaje,
I zatopi w szczęściu czystem,
Niezmierzonem, wiekuistem!

CHŁOPEK.

Z tej nauki, co dobrodziej
Tak szykownie ją wywodzi,
Zdałoby się, mało trzeba,
Żeby dostać się do nieba.
Lecz rozumu dobrze zażyć
I naukę tę rozważyć,
To dopiero człek uchwyci
Aż sam kłębek po tej nici.
Ej! gdyby człek był mądrzejszy,
Toby też był i mówniejszy...

KWESTARZ.

Cóż na myśli Janie macie?
Mówcie, czegóż się wahacie?

CHŁOPEK.

Jużci co tam siedzi w głowie,
Mądre... głupie... to się powie:
Mnieby zdało się, że na to,
Aby w chacie i za chatą
Wszędy Boga mieć przed sobą,
Niby widomą osobą,
Wszystko do niego stosować,
Każdy krok Mu ofiarować,
Przed jedzeniem, po jedzeniu,
Nie zapomnieć o wzniesieniu
Dziękczynnej myśli do Pana;
Żeby do nocy od rana
Wytężone mieć baczenie
Na Boga i na zbawienie,
Przeplatać każdą robotę
Przez myśli o Bogu złote;
Na to już anioła z nieba,
Albo świętych ludzi trzeba.
Jak mówią o Izydorze
Swiętym... bywało, że orze
Jakoby każdy najęty
Chłop, a to jest przecie święty;
Jeno musi być różnica,
Że najemnik dla dziedzica
I dla zysku swego robi,
Swiętemu wszystko się zdobi
Tem, że jego każda praca
W pacierz się niby obraca:
Bo on wszystko ofiaruje
Bogu, co Go w sobie czuje.

KWESTARZ.

Dobrze pojęliście, Janie!
Moje króciutkie kazanie.
Lecz miasto uspokojenia,
Żeby z mego powiedzenia
Gorzej serce wam nie drżało,
Dodam tu jednę rzecz małą:
Nie myślcie, żeby i święci,
Miłością bożą ujęci,
Z wielkiego czucia wciąż drżeli,
Jak seraficzni anieli.
I im nieraz się zdarzało
Odbyć jaką sprawę całą,
A nie ofiarować Panu,
I rzecz Mu upodobaną
Zrobili nieraz bez ducha.
Lecz potem zdjęła ich skrucha,
Przed Bogiem się uniżyli,
Tem dług naraz wypłacili.
Niech drży jeno taki człowiek,
Co gotów komu łzy z powiek
Wycisnąć, sprzedać zbawienie,
Na wieczne nie dbać płomienie,
By jeno bogactw się dobił,
Które swoim Bogiem zrobił.
Takiego chciwca roboty,
Zabiegi, znoje, kłopoty
Na tej karcie są spisane,
Gdzie i grzechy niesłychane.
Tem, Janie, skończmy rozmowę,
Że schyliwszy kornie głowę,
Będziem prosić: dobry Panie!
Chciwym daj upamiętanie.

Przygoda z Jaśkiem.

Kalixt Jerzy Symforjusz Kulawka nie z magnackiej, wszakże ze szlacheckiej rodziny ród wywodzący, uczył się w Pakości, a żył na Powiślu.

Zacząwszy gospodarkę od zadzierżawionego probostwa, chodził coraz większemi possesyami, a rządził się skrzętnie; pożywając dzisiaj, pomniał o jutrze. Wiodło mu się też dobrze. Starczyło grosza ponieść Bogu na ofiarę to w sprawionym ornacie, to w upiększonym ołtarzu. Starczyło na zapomogę dla biedniejszego i wystarczało na potrzebę własną: każdy kwestarz sowicie obdarzonym został, a musiał trzydniówkę wysiedzić; to furkę zboża, to beczkę spirytusu, a często i tucznego wieprza wiózł do klasztorn z łaski pana Symforjusza, a przytem jeszcze nawiasem wspominając, dostawał na własną korzyść dwuzłotówkę na tabakę.

I podupadły szlachcic, biedny kmiotek i dziad ubogi, nadaremnie progów jego nie nawiedzali. Często zdjął z siebie kapotę na codzień noszoną, a wdział świąteczną i dał ją bliźniemu, i sprawił znowu inną, aby być w pogotowiu na wypadek, gdy nagiego okryć trzeba było. Zawsze też dwie czapki zeszłoroczne jedne z lisem, a drugą z barankiem, sprawiwszy nowe, rozposażał, dawał i ćwiartkami zboże, mówiąc: że Bóg da nowe, i nieraz kazał z obory wyprowadzić jakie bydlątko na przychówek, albo i krówkę na mleko jakiej wdowie dla sierot. Tak szło różnego datku obficie z domu pana Symforjusza, ale też i w dom wchodziło obficie, bo tam widocznie Bóg błogosławił i łaskę swą dawał. To też pan Symforjusz nie zbytkując, używał przyzwoicie darów bożych, pracując, chwaląc i dziękując Mu. W każdy dzień mięsny sztuka mięsa jak zapisał, w piątek i w sobotę rybka, a na post wielki i adwent bęczka śledzi i stokwisz, na który nawet zjeżdżali się przeor, lektor i definitor z pobliskiego klasztoru. Piwo też było nigdy nie przepite, wystałe, a lubo fabrykacyi domowej, wyśmienite; bo pan Symforjusz nie kazał odciągać dla dworu esencyi, a cien kosz na ordynaryą, lub do karczmy dawać, ale na użytek dworski osobliwie robił po miarce jeno korczyka. To też piwo jako miód się lepiło, a ludzie do niego jak do lepu lgnęli, chociaż czasem i zamąciło w głowie.

Lecz w każde święto uroczyste, albo kiedy Pan Bóg zesłał dystyngowanego gościa, lub który z ojców wyższego szczebla nawiedził p. Symforjusza, stała półgarncówka na stole z węgrzynem i nieodłączna przy niej kulawka. A działo się to tak jakoś składnie i dziwnie, że nikt z goszczących nie dopatrzył próżnego gąsiorka, bo jakoby grzyb zpod ziemi, tak na stole obok na schyłku będącej półgarcówki, pojawiała się druga pełna. I nigdy nie było rwetesu, posyłek do miasteczka po sukurs, za pieniądze lub na kwit.

Lecz też w dniu 22 sierpnia każdego roku, jako w dzień patrona gospodarza, bywała ga-

la, co się zowie z kapelą i z ciastami; wyczekiwał też na nią nie jeden brzuch i nie jedno gardło. Festyn ten zaszczycało obywatelstwo, nawet od jaśnie wielmożnych. Zjeżdżali tu w komplecie panowie kommisarz i podsędek, ojcowie z bliższych i dalszych konwentów, w burych, białych i fioletowych habitach; ba i kogoż tu nie było! A bywało gorąco nie na żarty, kapela grzmiała, grzmiały wiwaty i grzmiały moździerze, nie rachując salw ręcznej broni. Bywało, że święty Symforjusz do oktawy bywał obchodzony, a starczyło wszystkiego, po nic do miasta nie posyłano, wszystko dom miał, bo w dom ten sam Bóg wszystko wnosił. W późniejsze lata, gdy pan Symforjusz już się znakomicie wzmógł w zasobach, nieomal równą sobie wyprawiał i rodzonemu jedynemu bratu ucztę co się zowie.

A mimo to, egzekucyi żadnej nie miał, podatki nie trzydziestego, ale pierwszego każdego miesiąca płacił. W wigilią Śgo Jana Chrzciciela woził dziedzicowi summę dzierżawną, a później to i trzechletnią z góry opłacał.

A ludzie przepowiadali, że się dorobi fortuny, że sobie dziedzictwo okupi. I sprawdzili ludzie przepowiednie swoje: na dziesiątek lat przed przed zgonem pan Symforjusz już na kopertach, mianowicie od wielebnych ojców, pisanych, czytał: „Symforjusz Kulawka, dziedzic dóbr, dobrodziej.“ Mimo to pan Symforjusz nie rósł w dumę, zawsze po dawnemu postępował. Wydał, gdzie trzeba, oszczędził, gdzie można. I miał też swoje zabawne kawałki. Gdy się z kim w mieście zetknął na butelkę, starannie do kieszeni chował korki, uważając, że one już w winie sowicie policzone zostały. Szkło stłuczone wypadkiem w domu, w jedno miejsce układać polecał. Skrawki od papieru, płótna, sukna, wszystko to było do czasu przechowywane, i pan Symforjusz głosił, że gąsiorki do piwa i wina nic go nie kosztują, że korkuje darmo, i tak rejestra gospodarskie, jako i prywatne korespondencye, na niekupnym papierze załatwia.

Z takim rozumem pan Symforjusz badał i traktował wszystko, każdego skutku szukał przyczyny, a przyczynie rad był obmyślać lekarstwo. I udawało mu się wiele wydrzeć wynalazków z dziedziny tajemnicy, tylko jak zeznawał, na straszną *chorobę lenistwa* nie mógł wynaleść środka, czy tam lekarstwa dokumentnego. Bo cóż wielkiego (mawiał) jeślibym kazał otrzepać winnego, to nie będzie skutkować; znowu grzech popełnić może. Ale trzebaby go dokumentnie przekonać, że mógł zrobić, a twierdzi, że nie mógł, a wtedy dopiero receptę mu zapisać.

Ze wszystkich paceyentów, którzy najczęściej podlegali przypadłościom téj choroby, był najpierwszy 14-letni chłopak Jasio. Mały Jasiek był sprytny, ale jeszcze więcej rozpustny. Cokolwiek poleconem mu było, zrobić tego nie miał czasu, albo zrobić zapomniał, i zwykle się tłomaczył *nie mogłem panie.* Ślęczał pan Symforjusz nad środkami, nocy nie dosypiał, a przecież lekarstwa wynaleść nie mógł. Traf sam posłużył do odkrycia wynalazku, który pan Symforjusz w pamiętniku swoim zapisał pod tytułem:

Przygoda z chłopakiem Jasiem, czyli niezawodne lekarstwo na chorobę **nie mogłem**.

Pamiętnik ów brzmi tak:

Roku Pańskiego 1829 dnia 29 listopada wyjechałem z domu; dzień był pogodny, ale łaska pańska, gust kobiet, pogody jesienne, wszystko to odmienne. Dzień się zasłocił, szaruga cięła po szarudze. Zabawiwszy na obiedzie u sąsiada, zmieniłem projekt podróży i powróciłem do domu. Oprócz Jasia, nie zastałem nikogo we dworze: kucharz poszedł do mieszkania swego, strzelec jak się później dowiedziałem, strąbywał psy zagonione w gościńcu, ogrodnik włoszczyznę utykał nosem w piasku w piwnicy. Jaś był zajęty robotą, bo gonił kota, któremu do ogona przywiązał pęcherz z grochem. A właśnie wyjeżdżając z domu, poleciłem hultajowi, aby nie próżnował, wybierać groch na przyszłoroczny zasiew, dziennie po garncu jednym.

Gdy wszedłem do przedpokoju, zrzuciwszy przemokły na wskróś płaszcz, kazałem Jasiowi powiesić na kołku, aby wysechł. Zapaliwszy lulkę, usiadłem przed kominkiem i obsuszałem się, dumając o tem i o owem. Samochcący przyszedł mi Jasio na myśl. Ciekawy byłem, jaki też to groch on wsypał w pęcherz przywiązany do kociego ogona, i chciałem się przekonać, czyli pozostawiony garniec grochu przebrał należycie. Ale jakież zdziwienie moje było, gdym zastał Jasia rozciągniętego na ławce i spokojnie zasypiającego!

— Jasiu, Jasiu! wołałem.

Jaś chrapał.

— Hultaju! krzyknąłem.

Jaś się rozbudził i odrzekł:

— Słucham pana.

— A groch przebrałeś?

— Nie wszystek panie.

— A dlaczego?

— Bo *nie mogłem* zdążyć, odpowiedział, poziewając.

Jużem się sunął chwycić go za czuprynę, kiedy zdumiały stanąłem jak wryty. Jaś zamiast płaszcz mój zmoczony na kołku powiesić, zwinął go w kłębek i za poduszkę w czasie snu użył.

— A cóż to? zawołałem.

Jaś przez nałóg *nie mogłem*, odpowiedział.

W tej chwili wchodził kucharz; nie wiedząc o powrocie moim, przychodził nocować we dworze, jak zwykle w czasie nieobecności pańskiej.

— Marcinie, zrób klusek, tylko skwarek i cukru do nich nie żałuj.

Marcin się zdziwił na podobny rozkaz, ale poszedł go wypełnić. Jasiowi ckliwo się musiało zrobić, bo grdyknął, łykając ślinę. Niebawem kurzące się z rynki kluski, przystrojone skwarkami, opudrowane cukrem, przynosił Marcin, Jaś mu asystował, niosąc serwetę, talerz i łyżkę. A musiało mu być ckliwo, bo raz poraz spluwał.

— Apetyt odszedł mię Marcinie, nie będę już jadł klusek; postaw je w kancelaryi, i dodałem do odchodzącego Marcina, który rozkaz mój wykonywał, ale postaw kluski na piecu, żeby się do nich kot czasem nie dostał. Jasio jakby w kota przemienić się chcący, spiął się na pazurki i patrzał za Marcinem. Uwolniony na ten raz Marcin od posługi odszedł do domu.

— Jasiu, zapytałem, a jakiego grochu nasypałeś w pęcherz kotowi do ogona przywiązany, czy pośledniego?

— Nie panie, z kupy

— A dlaczegóż z kupy?

— Bo *nie mogłem* wybrać, tak mi dużo gospodyni dała do wybrania.

— A odwiązałeś pęcherz kotowi?

— Nie panie.

— A dlaczego?

— Bo *nie mogłem* zdążyć.

— A to źle. Kot się może zapamiętać. Czekajże hultaju, nie będziesz spał dziś w łóżku na posciołce, tylko za karę na gołej ziemi. To mówiąc, wziąłem go za ucho, poprowadziłem do kancelaryi, a wepchnąwszy go tam, drzwi zamknęłem na klucz.

Nazajutrz, gdym wchodził do kancelaryi, spostrzegłem Jasia, jak siedział na kufrze w kąciku. W assekuracyi miałem Marcina i Jakóba ogrodnika; Bartłomieja strzelca jeszcze nie było, bo nie przewidywał mego nagłego powrotu, i musiał jeszcze trąbić.

— Marcinie, rzekłem, zdejm rynkę, odgrzejesz mi kluski.

Jasio się podnosił, i chciał jak kot z kotliny pomknąć. Jakób go przytrzymał. Stare Marcinisko zdumiało się, gdzie się mogły kluski podziać; rynki, którą wczoraj sam na piecu tak wysoko postawił, nie było. Wtedy jako myśliwy wprawniejsze oko do upatrywania mający, wskazałem Marcinowi, że rynka stoi pod stołkiem w kącie. Marcin znowu dwoiście był zdumiony, raz, jak rynka z pieca zlazła, a powtóre, że w niej klusek nie było. Jasio trzymany za ucho przez Jakóba kręcił się jak piskorz. Wtedy obróciwszy się do niego, zapytałem.

— Jasiu, a gdzie kluski?

— *Nie mogłem*, rzekł zrazu, ale wraz się poprawił i dodał żałośliwie: zjadłem je panie!

— A jakże mogłeś ich zjeść tyle?

— A mogłem panie, bo pomału sobie jadłem.

— A jakże mogłeś był do nich dostać tak wysoko?

— Przystawiłem panie najprzód stołek, na nim postawiłem ławeczkę, wlazłem na nią i dostałem się do klusek.

Wtedy kazałem prowadzić Jasia za sobą i poszliśmy wszyscy do przedpokoju. Przemierzyłem jak wysoko było od ziemi do kołków do wieszania przeznaczonych i znowu wróciwszy do kancelaryi, przemierzyłem wysokość pieca. Piec był łokieć cali trzy wyższy.

— A płaszcza Jasiu nie powiesiłeś na kołku wczoraj, mówiąc, że dostać *nie mogłeś*, a toż do klusek wyżej było.

Jaś wytrzeszczył oczy jak baran.

— Więc cię choć raz dokumentnie przekonałem, że kiedy kto chce, to i zrobić może.

Teraz na pamiątkę tego dokumentu, muszę ci żadać lekarstwo, abyś już więcej nie tłómaczył się, że *nie mogłeś*. Weźcie go!—stało się zadosyć rozkazowi memu, i wypaliłem Jasiowi lekarstwo, które ponieważ skutecznem się okazało, tedy dla dobra publicznego, receptę onego wypisuję:

Weź Marcina i Jakóba, (albo można wziąć i innych, ale zawsze dwóch).

Bierze się winowajcę, ale dokumentnie przekonanego.

Każe mu się położyć, Marcin trzyma za głowę, Jakób za nogi.

Bierze się na doktora, albo siebie, albo kogo z wyręczycieli.

Tenże ma mieć w prawej ręce, jeśli mańkutem nie jest, na sarniej nóżce osadzone narzędzie o pięciu odnogach.

Doktór winien mówić, ale szybko: *mogłem, mogłem, mogłem*, bez końca, a winowajca każdy wyraz równie szybko ma powtarzać. Tak go wprowadziwszy w powtarzanie, kiedy niekiedy doktór rzeknie *nie mogłem*, a gdy chory złapie się i powtórzy, dać mu nową porcyą. Powtarza się doza do piętnastu razy. Na naturę starszą użyć skuteczniej bośka splecionego, na młodsze dzieci rószczki brzozowej.

Jerzy Stefenson, wynalazca lokomotywy. (*)

—

Znakomity ten mechanik urodził się dnia 9 czerwca 1781 r. w *Wylam* pod *Newkastl* (Niukestl), gdzie ojciec jego był majstrem piecowym w kopalni węgla kamiennego. Rodzeństwo jego składało się ze starszego odeń brata, dwóch braci i dwóch siostr młodszych.

Rodzina Stefensonów należała od najdawniejszych czasów do klasy wyrobniczej. Ojciec Jerzego odznaczał się talentem bajarza i zwykle wieczorami, robotnicy, tak mężczyzni i kobiety zbierali się licznie około jego ogniska dla słuchania powiastek starego Stefensona. Matka Jerzego była to niewiasta zabiegła i gospodarna, posiadająca dużo naturalnego zdrowego rozsądku. Jerzy od maleńkiego używany był do rozmaitych posyłek, poza obrębem kopalni; w domu miał obowiązek dozorowania młodszego rodzeństwa, ażeby które nie dostało się pod koła wagonów naładowanych węglem, ciągnionych końmi około mieszkania po kolejach drewnianych. Kiedy doszedł lat ośmiu, jeden z sąsiadów jego dawał mu po 10 groszy dziennie za pilnowanie krów, w pewnej odległości od kolei. Wtedy to zmuszony siedzieć całemi godzinami, począł lepić z glinki machiny, w nadziei, że kiedyś podobnie jak ojciec jego pracować będzie w jakiej fabryce. Tymczasem rozmaicie był zatrudniany: jakiś czas zarabiał po 20 groszy dziennie przy kopaniu rzepy, następnie doszedł do złotego przy oczyszczaniu węgla z fusów i ziemi; wreszcie mając lat 14, mianowany został został pomocnikiem swego ojca z płacą dwóch złotych dziennie. Niedługo potem pilność jego i wyższa zdolność umysływa zjednała mu miejsce maszynisty z płacą czterech złotych; wtedy to zawołał: Widzę, żem stworzony, by być czemś na świecie.

W 17 roku Jerzy nie umiał jeszcze czytać; ale z natury wynalazca, udoskonalał wszystko, co go dotyczyło. Miłował on swoję maszynę, jak myśliwy broń swą ulubioną. Dniem i nocą zajęty był ustawianiem jej, czyszczeniem i porządkowaniem. Szybko postępując po stopniach, prześcignął swojego ojca, z czego ten bardzo był dumnym. Jerzy czując potrzebę nauki, nie wstydził się chodzić do szkółki wieczornej, gdzie się uczył czytać, pisać, rachunków, i wkrótce prześcignął w nich nie tylko swych współuczniów, ale samych nawet nauczycieli; co mu jednak nie przeszkadzało wzmacniać ciało ćwiczeniami gimnastycznemi. Kiedy wreszcie otrzymał miejsce nadzorcy przynoszące 42 złote tygodniowo, ośmielił się pójść za głosem serca, które już przemówiło. Pokochał on był z całym zapałem pierwszej młodości, miłą i słodką dzieweczkę Fanny Henderson, a gdy wyższa owa płaca pozwoliła mu pomyśleć o małżeństwie, nie zwlekał dłużej i w roku 1802, mając wtedy lat 21, poślubił swoją ulubioną.

W rok niespełna obdarzyło ich niebo synem, któremu dali imię Roberta, a który stał

(*) Lokomotywa, jest to maszyna parowa, używana do prowadzenia pociągów na kolejach żelaznych.

się później jednym z najpierwszych mechaników europejskich. Szczęśliwi aż dotąd Stefensonowie zaczęli doznawać rozmaitych przeciwności; mały ich domek nawiedził kolejno ogień i woda. Jerzy będący opatrznością całej rodziny, zaradzał wszystkiemu. Rzecz szczególna, iż wziąwszy się do reparacyi starego zegaru wieżowego, takiego do tej roboty nabrał gustu, że stał się wprędce jednym z najzdolniejszych zegarmistrzów w całej okolicy.

Po roku ciągłej pracy i niedostatku, przeniósł się o 7 mil angielskich od Newkastl ($^1/_4$ mili polskiej); zaledwie się tam osiedlił, wnet utracił ukochanę swoję małżonkę. Ze ściśnionem sercem uciekając z miejsca, przypominającego mu świeże nieszczęście, i powierzywszy pozostałe dziecko ojcu, puścił się w podróż, w której przebiegł piechotą większą część Szkocyi. Ale gdy ojciec jego wzrok utracił, biedny Jerzy musiał powrócić, by pielęgnować w starości i kalectwie rodziców i małego Roberta.

Przy ciągłej pracy ukoił się nieco w swej boleści, zajmując się jednocześnie zegarmistrzostwem, szewstwem, a nawet krawiectwem. Sława jego jako doskonałego krawca, utrzymuje się dotąd w okolicy gdzie mieszkał. Wśród tych zajęć powołany został do służby wojskowej, gdyż wybuchła wojna tak na lądzie jak na morzu; ale dzięki swej oszczędności i pracowitości, był w stanie opłacić za siebie zastępcę.

W kopalni, w ktorej pracował jako nadzorca, znalazł sposób znakomitego oszczędzania paliwa; maszyny wybrakowane, sam restaurował. Mechanicy śmieli się z niego, a jednak nieraz zmuszeni byli udawać się do niego po radę; zdarzyło się nawet, że kosztowną maszynę uznaną zupełnie za niezdatną, przez rozmaite ulepszenia przyprowadził do stanu użyteczności, za co otrzymał 400 złp. gratyfikacyi i pewiększenie pobieranej płacy.

Po kilku latach Stefenson w skutek oszczędności i zdolności znalazł się w posiadaniu 4000 złp. i w stopniu podmajstrzego z płacą czterech tysięcy rocznie.

Na dwa wieki przed Stefensonem, próżniacza gawiedź paryzka biegła oglądać w domu obłąkanych Salomona de Kaus, śmiejąc się do rozpuku, gdy ten im dowodził, iż za pomocą pary można poruszać wozy i statki. A jednak Watt, opierając się jedynie na odkryciu Salomona, zastosował parę jako siłę poruszającą; lokomotywa nie była jeszcze znaną. Usiłowano wprawdzie poprawić budowę dotychczasowej kolei drewnianej do przewozu końmi węgla kamiennego, podkłady drewniane zastąpiono kamiennemi; wszakże pierwszy dopiero Stefenson stał się dla lokomotywy tem, czem był Watt dla machiny parowej.

W rokę 1813 Lord Rawenswort dostarczył mu potrzebnych funduszów do zbudowania pierwszej lokomotywy, przeznaczonej do jego kopalni węgla.

Miano go za warjata; jednak Stefenson zbudował swoją maszynę, którą nazwał *Milordem*. Była ona w stanie przy ładunku 80 beczek, przebiedz w godzinę przestrzeń jednej mili, to jest wyrównywała sile jednego dobrego konia. Otóż to wielki wynalazek, wołano zewsząd: jakaż z niego korzyść? Korzyść to wielka, odpowiedział Stefenson, ja to wam mówię. Machina porusza się, w tem całe zadanie; co do szybkości biegu, to się zajmę nią z kolei.

W tym samym roku Jerzy wynalazł dla górników lampę bezpieczeństwa, za ktorą otrzymał tytułem nagrody od rządu 40,000 zł. Sumę tę przeznaczył na wychowanie swego syna, którego posłał do uniwersytetu w Edimburgu.

W tym czasie ożenił się powtórnie z córką sąsiedniego dzierżawcy. Bezprzestannie przecież zajmowała umysł jego lokomotywa i zapewnienie jej szybkiego biegu po kolei żelaznej.

Potrzeba jest matką wynalazku, powiada przysłowie. Miasto Manszester od najdawniejszych czasów otrzymywało bawełnę z Liwerpolu. Pomimo licznych dróg i kanałów, ułatwienia wzajemnej kommunikacyi pomiędzy temi dwoma miastami nie były dostateczne; kolej żelazna byłaby od razu tej niedogodności zaradziła. Odniesiono się w tej mierze do Stefensona, który wykonanie jej znajdował możliwem; wszakże tak silny przeciwko temu powstał opór, podniecany przez bogatych posiadaczy kanału, że prace przygotowawcze musiały być zaniechane.

Wśród tego pan Pease, który był widział w działaniu maszyną Stefensona, skłonił go do przyjęcia posady mechanika, z płacą 12,000 złp. przy budowie drogi żelaznej, zwanej ko-

leją *kwakrów*. Obok tego wszedł z nim we spółkę w przedsięwzięciu budowy lokomotyw. W r. 1825, droga żelazna *Kwakrów* otwartą została do użytku. Pierwszy pociąg składający się z 38 wagonów, obładowany był zbożem, węglem, i 250 osobami; temi ostatniemi w sposobie próby, nikt bowiem wtedy nie pomyślał o użyciu kolei żelaznych do podróży. Stefenson kierował sam maszyną, i zadziwienie było powszechnem na widok lokomotywy, przebiegającej około jednej mili na godzinę z podobnym ciężarem.

Pierwsze lody zostały złamane; tak mało jednak osób skłonnych było powierzać życie swoje kolei żelaznej, że jedna stara kolasa, umieszczona na platformie, wystarczała przez czas długi do przewozu podróżnych.

Potrzebną była stacya: Stenfenson ją utworzył, a ta zamieniła się odtąd w bogate i ludne miasto Middlesborug, liczące dziś 20 tysięcy ludności; przed r. 1825 byłto niewielki folwarczek. Wedty to wznowiono rzecz o budowę kolei z Liwerpolu do Manszestru; Stefensonowi poruczono naczelny jej kierunek. I tym razem jeszcze zagrożeni dzierżawcy żeglugi na kanalę, starali się usiłowania te zniweczyć, wzbudzając względem nich nieufność i trwogę przedsiębiorców i kapitalistów, za pomocą rozsiewanych niekorzystnych wieści i nieprzychylnych ogłoszeń po pismach publicznych. Stefenson odpowiedział na czynione zarzuty uśmiechem i nieustawał w pracy. Komissya parlamentu, (*) przed którą został powołany, miała go za szalonego, gdy ją zapewniał, że za pomocą swych maszyn przebiegać będzie pół trzeciej mili na godzinę. Jeden z członków komissyi rzucił mu wtedy nasiępujące kwestye: Przypuściwszy podobną szybkość za możliwą, to cóżby się stało, gdyby np. krowa stanęła na drodze? byłoby to położenie bardzo niebezpieczne— O, tak panie, odrzekł Stefenson, ale dla krowy!..

(*) Najwyższa władza prawodawcza Anglii.

Ale większe miał jeszcze do zwyciężenia przeszkody z powodu obranego kierunku drogi, przez trzęsawiska, przez które kazał bić groblę. Nareszcie pomimo niezmiernych nakładów, bowiem nasyp przez błota kosztował 25,090 funtów sterlingów (przeszło milion złotych), i wbrew wszystkim złowieszczym przepowiedniom, Stefenson 15 września 1830 r. wypuścił *racę*, (tak on nazwał swoją lokomotywę) i w jednej godzinie przebiegł nią 30 mil angielskich (6 mil pols.)

O tej chwili sprawa tokomotywy stanowczo została wygraną. Wszakże 12 jeszcze potrzeba było lat i pośrednictwa samej królowej, która w r. 1842, odbyła przejażdżkę na drodze żelaznej Windsorskiej, aby resztę panujących dotąd uprzedzeń rozproszyć.

Odtąd budowa kolei rozszerzać się zaczęła szybko po Europie. Różni monarchowie zasięgali nieraz rady Stefensona w przedmiocie budowy kolei w swych krajach. Król Belgijski Leopold obdarzył go znakiem honorowym, którego Stefenson przez wrodzoną skromność nigdy nie nosił. Odmówił zarówno krzyża kawalerskiogo, który mu ofiarował rząd angielski.

W ostatnich latach swojego życia, Stefenson przeniósł się na wieś, zajmując się uprawą ogrodu z równem powodzeniem, jak się zajmował poprzednio budową machin. Pozostał on aż do śmierci prostym i skromnym, zarówno rozsądnym jak i dowcipnym; rozmowa jego była słodką, zajmującą i często żartobliwą.

Stefenson umarł w r. 1848 na gorączkę, 67 roku swego życia. Miasto Liwerpol wzniosło mu pomnik.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90— kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwolona, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie.
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 25 grud. (6 stycz) 1861 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczańsk*